

Prenumerata w miejscu.

rocznie rs. 3 kop. —
półrocznie rs 1 kop. 50
kwartalnie rs. — kop. 75

Za odosłanie do domu kwartalnie kop. 10.

Cena pojedynczego numeru kop. 7 i pół.

z przesyłką:

rocznie rs. 4 kop. 20
półrocznie rs. 2 kop. 20
kwartalnie rs 1 kop. 10

Biurow Redakcyi i ekspedycyja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie księgarnie w Petrokowie, oraz po zagranicami guberni petrokowskiej wyłącznie agentura „Rajchman i Frendler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Petrokowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. w Częstochowie „Nowa księgarnia” — prócz tego.

w Częstochowie	W. Zieliński	w Łasku	W. Grass.
w Będzinie	„Janiszewski Stan.	w Łodzi	„Janiszewski Leopold.
w Brzezinaach	„Kroemieniewski Jul.	w Radomsku	„Ruszkowski Erazm.
w Dąbrowie	„Dziwiałkowiez J.	w Rawie	„Szewłodziński.

Ogłoszenia.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz petitu lub za jego miejsce.
za 2—6 razowe po kop. 4 za wiersz.
za 7—10 razowe po kop. 3 za wiersz.
Cena ogłoszeń na pierwszej stronie podwójna.
Reklamy po 10 kop. za wiersz petitu.
Cena ogłoszeń zagranicznych po 10 kop. od wiersza.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

Otwarty z dniem dzisiejszym w Petrokowie,
MAGAZYN POŚCIELI GOTOWEJ
Konstancyi Jacewskiej
w domu W-go Gasparego, Rynek Maślany,
w Oficyne, 1-sze piętro,
poleca **kołdry** gotowe w rozmaitych kolorach, atlasowe, welniane i tyfytkowe; **kołderki** dziecięce; **poduszki** duże, małe i długie puchowe, dla nowo narodzonych dzieci; **piersze i puch** zakupowane ze wsi, można dostać i na funty. Przyjmuje również zamówienia na wyprawki dziecięce. **Ceny nader przystępne.**
Jeśliby która z Pań obywaterek miała pierze i puch do sprzedania, raczy się zgłosić pod powyższym adresem. (2—2)

Duchowieństwu, Folegom i życzliwym, którzy w dniu 10 b. m. i roku raczyli uczestniczyć w odprowadzeniu do miejsca wiecznego spoczynku zwłok, s. p. żony mojej **Tekli Józefy**, niniejszem składam najserdeczniejsze podziękowanie.

Piotr Cękałski.

— **Biuro redakcyi** mieści się na 1-szem piętrze w oficyne, w domu p. Michelsona, obok Magistratu. Dla interesantów otwarte codziennie od godziny 2 do 4 po południu. — **Ogłoszenia** przyjmowane są w tym samym czasie.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

— **Co robić?** Coraz częstsze, coraz natarczywsze słyhać w społeczeństwie naszym pytanie: „co robić, co robić z dziećmi naszymi? jak im przyszłość zapewnić, jak los ustalić, na jaką wprowadzić je drogę, jaką im wybrać... *karyjerę?*” A ton tego pytania wahający, niepewny i smutny. Dlaczego?

Po wielu trudach, móżolach, gdyśmy szczęśliwym trafem zdolali umieścić syna w gimnazjum, odpoczywamy, radzi, że go kształcić możemy, że dziecko, ucząc się toruje sobie drogę do wszystkich możliwych zawodów, przygotowuje rolę do przyszłego posiewu. Dopiero, gdy chłopak 18-o letni lub 19-o letni, z patentem dojrzałości w ręku wrócił do domu, pytanie owo powraca natarczywie, domagając się natychmiastowego rozwiązania. Następują nieskończone rozprawy nad tem „jaką wybrać karyjerę” chłopcu, bo tak w naszym społeczeństwie formuluje się zawsze prawie to pytanie i w tem leży jedyna przyczyna błędów, jakie w odpowiedzi popielniamy. „Karyjerę!”, bo drogiemu dziecku naszemu chcielibyśmy ułatwić, uprościć drogę życia, oszczędzić mu pracy i wysiłku, a dać chleb i spokój. Nie przyznajemy się głośno do tego, ale mimo to tak jest.

Chłopak, o którego przyszłość tu chodzi, ma naturalnie przeważny głos w tych naradach. Tylko co ze szkolnej zszedł ławki; —

nie zna więc wcale, lub tylko bardzo powierzchownie zna warunki życia; jest w wieku młodzieńczej zarozumiałości, usprawiedliwionej w części świeżo odniesionym tryumfem na egzaminie dojrzałości; ma zapał, wiarę w swe siły, zdolności; niema dlań niepodobieństw. Przemysł, handel, rzemiosło, z programu narad rodzinnych stanowczo wykreślono, bo stare przesady wciąż jeszcze wśród nas nurtują; nie umiemy się pogodzić z myślą, by chłopiec z patentem dojrzałości w ręku, stać miał za kupieckim kantorem, zajmować się handlem, albo — broń Boże — fizycznie pracować. „Dobre to dla cudzoziemców, ale nie dla nas!” Więc zajęli też i zajmują cudzoziemcy opróżnione przez nas pole, pracują, robią fortuny i — słusznie śmieją się z nas. Zresztą, zrażają tu początkowe trudności, bo z przemysłem i handlem nie jesteśmy obeznani, a cudzoziemcy niechętnie dopuszczają nas do siebie, obawiając się przyszej konkurencyi. O rzemiosle niema nawet mowy. Rzemieślnik, według zastarzałych naszych pojęć, stoi przecież niżej w hierarchii społecznej; maż więc nasze dziecię spaść niżej?! Nie — ono wyżej pójść musi, albo przynajmniej na jednej z rodziną stanąć wysokości. Musi być gospodarzem, gdy ma pieniądze; prawnikiem, doktorem, inżynierem lub urzędnikiem, gdy takowych mniej, lub wcale nie posiada. Z pewnością 90 młodzieńców z pomiędzy 100-u, po ukończeniu gimnazjum, jeden z tych wybierze zawodów, a szczególnie też: prawo, medycynę i inżynierję. „Wszak one dają tytuł i poważne stanowisko w społeczeństwie!... Czy dają spodziewany kawał chleba i majątek? — to rzecz inna.

Seminaryja świecą pustkami, odkąd przysłowie „kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie,” stało się anachronizmem; uprzedzenia zamknęły drogę do handlu, przemysłu i rzemiosł; więc od lat wielu a wielu, potok naszej upatentowanej młodzieży, na wskazane przez nas rzucił się drogi. Prawników mieliśmy zawsze; potrzebowaliśmy lekarzy, inżynierów, budowniczych etc. — więc chętnie patrzyliśmy na ten kierunek. Dziś już mamy ich dosyć, mamy więcej niż potrzeba prawie i obawiać się należy, by w bardzo niedalekiej przyszłości nie nastąpiło przeludnienie w tym kierunku. Pomimo wrodzonej nam żylki do pieniąctwa, policzyć, ilu u nas adwokatów próżno wyczekuje klientów, ilu lekarzy, przy mozolnej pracy pragnie chleba, ilu inżynierów napróżno wyczekuje na posady w biurach potentatów-przemysłowców!...

Jeżeli tak dalej iść będzie, to wytworzyć się musi falanga, owych w czarnych frakach przedstawicieli nędzy, którzy kręcą się wszędzie, szukając, a nie mogąc wynaleźć dla siebie zajęcia. Powiecie, że społeczeństwo wygrać tylko na tem może, gdyż mając swobodny wybór, najdzielniejszym pole do pracy zapewni. To nieprawda, gdyż nie zbywa wcale na inteligencyi i energii tej młodzieży, o której piszemy, a którą

własna jej lub rodziców próżność popycha ku frakowi adwokata, lub cyrkłowi inżyniera i która „nie robi karyjery,” jedynie dlatego, że jakkolwiek są charaktery, które mężnieją w walce z życiem (a takie silne organizacje nieczęsto się spotyka), to wielu jest takich, którzy rozpoczynając swój zawód prawnika, lekarza, czy inżyniera, nie są w stanie oddać się ciężkiej pracy umysłowej, wiodąc walkę codzienną z pierwszemi potrzebami życia. Ileż to wyjątkowych zdolności i poważnych talentów przepadło — skutkiem nędzy? ilu zginęło ludzi, co na innej drodze chluba społeczeństwa stać się mogli i przez swą pracę ogromne mu przynieść korzyści? Społeczeństwo więc w każdym razie nie nie zyskuje na tym kierunku, a wiele jednostek traci wszystko.

Ze obawy nasze nie są płonne, przesadzone, tego liczby łatwo dowiodą; gdzie one mówią, ~~ona~~ rozumowanie jest zbyt czynnem. Nie mamy pod ręką pewnych danych, możemy więc tylko w przybliżeniu, i to *in minus* je podać. Corocznie gimnazyja nasze wypuszczają około tysiąca kilkuset upatentowanych uczniów; gdyby tylko 700 wstępowało do uniwersytetów, a połowa z nich kończyła studia, to zawsze co rok przybywać musi około 300 prawników, doktorów i inżynierów, z których wszyscy pozostają w kraju, chcąc tu dobić się chleba.

W takich warunkach musi się wytwarzać inteligentny proletaryjat w czarnym fraku i glansownych rękawiczkach — najniebezpieśliwsza klasa nędzarzy!

(Kaliszanin.)

— Przypominamy o ostatnim w bieżącym karnawale wieczorze tańczącym, mającym się odbyć d. 23 b. m. na rzecz niezamożnych wychowanców, miejscowego gimnazjum. Że będzie miał powodzenie, jako ostatni i jako połączony z tak szlachetnym celem — o tem nie wątpimy. Początek o godzinie 9 wieczorem. Wejście dla pań rs. 1, dla panów rs. 2. Bilety są do nabycia w księgarni W-go Jędrzejewicza.

— We środę d. 20 lutego w miejscowym teatrze odbędzie się 25-letnie jubileuszowe przedstawienie na pamiątkę tak długiej pracy na scenie polskiej Anastazego Trapszy. Odegraną będzie *Zemsta* komedyja Fredry, w której jubilat odtworzy główną rolę Cześnika. Mamy niepłonną nadzieję, że publiczność nasza nie omieszkła swoją obecnością na przedstawieniu przyczynić się do jego uświetnienia i dać przez to jednocześnie dowód że unie ocenić pracę jubilata podjętą dla dobra sceny krajowej.

— 25-lecie działalności p. Trapszy.

Nieraz spotykamy się z życiorysami wielkich mężów, którzy stali się chluba kraju i położonemi zasługami zbudowali sobie za życia trwałe pomniki czci i uwielbienia. Nie zapominajmy jednakże i o tych, którzy choć drobną cegielkę przyłożyli do tego wielkiego budynku starając się o podniesienie

oświaty, wychowania, lub sztuki krajowej, mającej z pierwszymi ścisły związek.

Mamy tu na myśli Anastazego Trapszo, którego 25-letnią mozolną pracą na deskach teatralnych wdzięczni jego uczniowie chcą uczcić.—Życie aktora, nawet w teraźniejszych, zmienionych nieco na lepsze stosunkach, nie jest usłane samymi różami; cóż dopiero mówić o tych czasach, w których Trapszo rozpoczął swój zawód. Ileż młody i inteligentny człowiek napotykał wówczas cierni na swojej drodze, które go raniły niemiłosiernie, odzierały z wszelkich iluzji i przytłumiały zawczasu szlachetne porwy umysłu i serca. Ileż energii potrzeba było, żeby nie uleść w tej walce o powszedni kawałek chleba.—A jednakże Trapszo utrzymał się na wysokości zadania i po 25-letniej ciężkiej pracy przy smutnych warunkach materialnych, umysł jego pozostał świeżym i zawsze zdolnym odebrać co piękne i szlachetne.—Będąc młodym chłopcem obdarzony od natury znacznymi zdolnościami, wstąpił na uniwersytet, a po ukończeniu kursów, pociągnięty jakąś nieprzepatą siłą, wszedł do szkoły dramatycznej. Po chlubnym jej ukończeniu, został zaangażowany na scenę lwowską w r. 1856 a w rok później powołano go na scenę Warszawską.—Talent młodego ale obdarzonego niepospolitemi zaletami zewnętrznymi aktora, rozwijał się nadzwyczaj szybko i rokował wielkie nadzieje na przyszłość.

Po kilku latach pobytu na scenie Warszawskiej, na której jako aktor i reżyser zdobył sobie uznanie, Trapszo, popierany przez możnych i światłych ludzi, wystąpił z projektem założenia w Warszawie *teatru ludowego*. Otrzymałszy na to pozwolenie, zajął się gorliwie zorganizowaniem odpowiedniego towarzystwa.—Jakie powody nie dozwoliły mu wykonać tego chwalebego postanowienia—nie wiadomo, dosyć, że z ukonstytuowaniem towarzystwem wyjechał na prowincyję w r. 1866 w sierpniu.

Tu się dopiero okazuje właściwa wartość Trapszy i jego pracy sumiennej, popartej nauką i erudycją. Utworzył on z teatru poważną instytucję, postawił do-

borowy repertuar złożony z oryginalnych sztuk i arcydzieł literatury powszechnej, poprawił byt aktorów ustanawiając im stałe pensyje, o czem wówczas na prowincyi mowy nawet nie było.

Cieha to wprawdzie praca, ale wytrwała i w szlachetnym celu podjęta. Trapszo nie jest zwykłym antreprenerem wojującym niesmacznymi farsami lub muzą mistrza Jakóba, ale człowiekiem pojmującym teatr nasz jako instytucję, mającą poważny cel przed sobą: kształcenie smaku estetycznego i ochronę mowy ojczyste!.. Nie więc dziwnego, że uczniowie jego i młodzi adepci sztuki chcą uczcić cwierć wiekową swojego mistrza pracę. Może ta chwila zagładzi w nim przykre wspomnienia przebytych kolej, wśród których jednak nie zapomniał ani na chwilę o swem posłannictwie i nie wypuścił z ręki sztandaru, w imię którego walczył.

— Dowiadujemy się z przyjemnością, że jeden z najzdolniejszych wychowanców tutejszego gimnazjum p. Gustaw Kościński, który przed kilku laty skończył klasę 8 ze złotym medalem, obecnie, jako kandydat nauk przyrodniczych petersburskiego uniwersytetu, otrzymał od kasy pomocy naukowej imienia J. Mianowskiego rs. 1000 na wyjazd za granicę w celach naukowych.

— Smutną wiadomość odbieramy w tej chwili z Warszawy o śmierci *Aleksandra Białkowskiego*, budowniczego tutejszego miasta, zostającego tam na kuracyi i zmarłego 13 b. m. Nieboszczyk położył zasługi w przerobieniu odpowiednim do najnowszych wymagań higienicznych tutejszego więzienia, oraz szpitala miejskiego, szczególnie pod względem urządzenia wentylacji i miejsc ustępowych.

— Koncert amatorski zesłoponiedziałkowy, urządzony staraniem p. Klawera na rzecz niezamożnych uczniów tutejszego gimnazjum, zapelniał szczyplą naszą salę teatralną po same brzegi, i gdyby takowa mogła pomieścić drugie tyle słuchaczy, niezawodnie by chętych nie zbrakło! Ale bo też Piotrków dawno już nie słyszał takiej

gry na wiolonczeli i fortepianie jak gra pp. Adamowskiego i Klawera; co się zaś tyczy takiej deklamacyi, to nie słyszał jej nigdy. Nadzwyczaj wreszcie sympatyczny i wyrobiony, choć o niewielkiej sile, śpiew sopranowy pani Uszyńskiej dopełniał i tak już nader urozmaiconej świetnej całości koncertu.

W pierwszej części pan Klawer odegrał na fortepianie z towarzyszeniem kwintetu smyczkowego *Koncert G moll Mendelssohna Bartholdy*, pani Uszyńska zaś odśpiewała *Cavatine z Cyrułika Sewilskiego* i *Mazurek Chopina*; po wykonaniu wreszcie przez pana Adamowskiego solo na wiolonczeli *Fantazyi „Le désir“ Serwais'a*, pani Maryja Deryng-Walewska wypowiedziała pełen dramatycznej siły wiersz Bałuckiego *Z pod Cheronei* i — dodatkowo — *Hagar na Puszcy Ujejskiego*. O mistrzostwie w deklamacyi pani W., zbytecznie byłoby tu rozwodzić się; — zna ją kraj cały.

Dobór partycyj powyższych i wykonanie takowych, szły o lepsze i pozostały w najzupełniejszej z sobą harmonii; to też zadowolone słuchaczów zdawało się stopniowo wzrastać i chwilami przechodzić w prawdziwą burzę oklasków.

O drugiej części koncertu da się powiedzieć to samo, a nawet więcej, gdyż stało się pod koniec widocznem, że artyści i publiczność stworzyli niejako jedną wzajem się rozumiejącą całość: zapal amatorów-artystów i zachwyty słuchaczów zlały się w jedno. W drobiazgową ocenę gry wdawać się nie myślimy — nie jest to ani naszym zadaniem, ani stanowi naszej specjalności; zaznaczyć jednak musimy to, co każdego uderzyć musiało w grze fortepianowej pana Klawera i wiolonczelowej p. Adamowskiego: ową czystość tonu, delikatność tuszu i mistrzowski mechanizm. Pierwszy grał *Nocturn Chopina*, *Walse Chromatyczne Leschetizky'ego*, *Etiude Henselta* i *Rapsodyję Węgierską Liszta*; drugi zaś *Melodie Rubinszteina*, *Berceuse Simon'a* i *Gavotte Fitzenhagena*. Zakończyła wieczór pani J. Uszyńska, ślicznem i pełnem wdzięku odśpiewaniem *Bolero* z op. *Nieszpory Sycylijskie* i *Konwalijski Zarzyckiego*.

SIELANKA MŁODOŚCI

z własnych wspomnień

spisał

Roman Lech.

Byłem wtedy w szóstej klasie, gdy wśród kredowego pyłu ulatującego z nad upstrzonej matematycznymi formułkami tablicy, wśród klasycznych maistrów starożytnego świata, dusznej atmosfery i pieprzonych dowcipów dojrzałych kolegów, poczułem coś, czegom nie znał dotąd... niby ból serca, niby zawrót głowy, niby nieokreśloną tęsknicę.

Była to miłość... moja pierwsza miłość!... Czegóż ona w sobie nie zawierała?... Za chwytów pierwszaki, co się świeżo z paczków wychylały, ogniste porwy zbudzone ze snu dziecięcego, i dziewiczą wstydlivość, bijącą co chwyla na twarz krwawą łuną...

Słowem, obchodziłem wschód serca!

Obowiązki mego ideału pełniła, jak się spodziewać należało, pensjonarka, uczennica drugiej klasy na pensyi pani W. Nie przeszkadzało mi wcale, że miała dopiero lat dwanaście; owszem, dodawało to jeszcze uroku rozmarzonej głowie, otaczając ideał nimbem niewinności.

Spotykaliśmy się codzień rano: ja z tornistrem na plecach, ona z książkami przewieszonymi przez ramię.

W tym celu wychodziłem wcześniej z domu i, wyczekując jej, przechadzałem się po ulicy, którą przejść musiała. Gdy ujrzałem zdaleka, jak zdażała nierównym waha-

dłowym nieco krokiem w szarym kapelusiku i niebieskiej okrywce, serce zaczynało łomotać przyspieszonym tętnem; czerwony jak piwonija, uchylałem czapki, a ona odpowiadała mi lekkim skinieniem główki.

Gust bo miałem; moja Anielka była prawdziwie śliczną istotką, czarnowłosą, czarunką, o figlarnym buziaczku i — kształtnej figurce. Zachwycono się też nią, i dzięki właśnie powszechnym zachwytom, obudziła we mnie zazdrość i... miłość.

O, bo nasza znajomość nie datowała się z ulicy... nie... wcale...; myśmy poznali się — w „towarzystwie“!

Byłem raz na urodzinach jednej znajomej panienki i tam ją zastałem, a choć znałem Anielkę pierwej, nigdy mi się tak piękną nie wydała jak wówczas. Schlebiali mi i to, że wyróżniała mnie wśród innych.

Najsilniej jednak popchnęła mnie ku niej — zazdrość. Wśród gości obchodzących rocznicę przyjęcia na świat córki gospodyni domu, był jeden, budzący we mnie serdeczną niechęć, może dlatego, że jako młody, przystojny, obyty ze światem, silnie kontrastował ze mną, lichym sztubaczkiem, nie wiedzącym często co zrobić z nieznośną ręką parą, zwieszającą się pociesznie wzdłuż długiego stanu.

Owóż jegomość ten, tak imponujący mi eleganckiem wzięciem się, pozwolił sobie — (jeszcze teraz żal mi porywa, gdy o tem wspomnę) — pozwolił sobie — zdradca — wziąć Anielkę na kolana i... szeptać jej coś do uszka.

Wprawdzie pan ten miał około trzydziestki, a ja brakowało jeszcze lat trzech, by dosięgnąć połowy jego wieku; ale... ale ja byłem wściekły.

Nie liczyłem w tej chwili lat, przedzielających mego rywala i mnie samego od niej; już to wogóle nie należałem do tegich matematyków; ale powtarzam, byłem wściekły i przez zemstę postanowiłem zakochać się.

Przyszło mi to łatwiej nawet, niż sam się spodziewałem. Jakem powiedział, sercowe zapaly moje znajdowały przez czas pewien ujście w codziennem kłanianiu się i strzelistych spojrzaniach, jakimi tylko zakochany szósto-klasista umie darzyć swe bogdanki.

Mój Boże! gdzie ja straciłem ten wzrok płomienny, pod którego promieniami stopione zostało serduszek mej ukochanej? Dotąd nie mogę go odnaleźć, zapodział mi się gdzieś, razem z mundurkiem uczniowskim!..

Powoli jednak te zbyt platoniczne zachwyty zaczęły i mnie już wydawać się za mało ziemskimi. Szło o to, aby zaprowadzić jakąś reformę — coś, coby mi pozwoliło zbliżyć się do niej i choć raz zakosztować słodczy jej ust karminowych. Ale to były marzenia, o których zrealizowaniu ani myśleć śmiałem; chowałem je sobie do poduszki, by mnie do snu kołysały, by potem jawiły się we śnie, niby rozkoszne widziadła.

Czytaliśmy wtedy w klasie Owidyjusza, a ja, dorwawszy się polskiego przekładu, chłonałem z gorączkowym pragnieniem zakazane ustępy, bo wszędy boginie greckie przybierały dla mnie kuszącą postać Anielki. Ale mimo to, nawet myślą nie zbrukałem jej nigdy; przeciwnie, otaczałem ją aureolą niewinności, świętości, i aby jej dorównać, starałem się wznieść duchowo. Z

Słowem, poniedziałkowy koncert amatorski na długo pozostanie w naszej pamięci!

— Trzeci wieczór tańczący na dochód biednych miasta Piotrkowa w ubiegłą sobotę wypadł nader pomyślnie; znalazło się bowiem na nim osób 170, a par do tańca stawało 50. Sprawozdanie z dochodu ze wszystkich 3 balów, danych na cel powyższy, zamieścimy w następnym numerze „Tygodnia“.

— Teatr. Dnia 9 b. m. odegrano po raz 3-ci, gwoli uciechu widzów, *Dom Otwarty* Bałuckiego, w którym, należy przyznać, wszyscy artyści, bez wyjątku, wywiązali się z ról swoich wybornie. Rola Fikalskiego stanowi najlepszą z kreacji pana Puchalskiego, którego gra, mówiąc nawiasem, staje się coraz naturalniejszą i prostszą; również na wyróżnienie zasługują w tej sztuce pp: Trapszo i Feldman (Telesfor i Fajarkiewicz). W niedzielę przedstawiono po raz pierwszy *Słomianego Człowieka* Jordana—sztukę nie mającą w sobie wiele scenicznego żywiołu, i którą tylko utrzymać może w repertuarze gra jedynie takiego Żółkowskiego w roli tytułowej. Pan Winkler, jeden ze zdolniejszych artystów tutejszej sceny, wywiązał się z niej w każdym razie zadawalniająco, przełamując zwycięsko wszystkie wcale niemałe trudności. — We wtorek ujrzelśmy *Grube Ryby* Bałuckiego, komedię znaną już u nas z amatorskich przedstawień. Jakkolwiek układ jej, tak samo jak w „Domu Otwartym“, epizodyczny,—zdolność jednak autora, tak tu jak i tam, w wynajdywaniu komicznych sytuacji i stwarzaniu zręcznych dyalogów—widoczna. Jestto wierna fotografia codziennego życia—nie więcej; ale dlatego właśnie taka prawdziwa i taka zajmująca. Gra artystów była równa i świetna, zwłaszcza panów Głodowskiego i Winklera; p. Trapszo tylko, wyjątkowo, razem, zupełnie nas niezadowolnił: jego Wistowski kapitalista zakrawał raczej na bankiera Rozenblata ze „Złotego Cielca“. Oprócz „Grubych Ryb“, przedstawiono we wtorek, pierwszy raz, *Rocznice Ślubu* Lanciego, w której p-na Hoffman bardzo słabo odegrała wdzięczną dość rolę

pokojówki Kasi. Charakterystyka za to p-na Popławskiego oraz gra p. Milewskiej i pana Puchalskiego, nie nie pozostawiły do życzenia.—We środę odegrano *Złotego Cielca* i *Na wędkę* z francuzkiego; drugą połowę wieczoru zapełnił swem przedstawieniem świeżo przybyły „antyspirytysta“ p. H. Małeckie.

— Nadesłane. Wobec coraz to większej drożyzny na artykuły spożywcze, ogromną dogodnością było dla rodzin nietylko biednych ale i średniozamożnych, przywożenie mięsa w niedziele z Bełchatowa i sprzedawanie go za kolejka po kop. 10 funt, wtedy gdy w jatkach płacimy za takowe po kop. 13. Mięso to, jak to dość często bywa u naszych izraelitów handlarzy, jakkolwiek nie z wołów stepowych, było jednak smaczne i zdrowe. Dzielone chętnie i umiejętnie na sztuki jakich kto zażądał, zyskało też sobie ogromny pokup i śmiało można powiedzieć, że większa część miasta tam a nie w jatkach zaopatrywała się w mięso.—Trwało to jednak niedługo; z czasem mięso było coraz to gorsze, pełne kości i błony, a w ostatnich czasach popsuło się tak, że nietylko jeść go nie można, ale z obrzydzeniem przychodzi nań spojrzeć. Ze wsi żydki nie przebiegają w kupnie bydła: najlepszy tego dowód, że teraz gdy owce w okolicy chorują i padają, jatka za kolejka obfituje w baraninę.—Jedna z gospodyń przekonała się z resztą, że branie takiego mięsa nie jest żadną oszczędnością: mięsa z Bełchatowa brała zwykle na tydzień 26 ft.; obecnie wzięwszy 22 funtów w jatce zupełnie ten sam otrzymała rezultat—rodzinę dostatnio przez tydzień mięsem obdzieliła.

A propos owego mięsa nie od rzeczy będzie ostrzedz panie biorące mięso w jatkach, o sztuczkach jakich używają ich służące: kupują one za kolejka—i na każdym 10 funtach zarabiają kop. 30. Racz Szanowny panie Redaktorze pomieścić te słów parę w „Tygodniu“ i przyjąć etc. J. K.

— Łódź przeznaczona w r. b. sumę 162000 rs. na roboty i melioracje miejskie. W sumie tej spotykamy pożyte 72,800 rs. na

bruki na ulicach boeznych, 22,000 rs. na plan miasta, 19,200 rs. na przebruki. 13000 rs. na budowę nowego więzienia. Fundusze kasy miejskiej wynoszą w tej chwili 200,000 rs.

— Kolej Łódzka postanowiła połączenie się z przyszłą koleją Dąbrowską. Kolej Dąbrowska przyjmuje na siebie dług, obciążający kolej Łódzką z tytułu gwarancyi rządowej w sumie miliona rubli; dalej za akeyje Łódzkie wyda 5 procentowe obligi, umarzalne w ciągu lat 50 i przez ten czas wypłacać będzie akeyjonaryjuszom kolei Łódzkiej po rs. 24,332 rocznie do podziału. Urzędnicy kolei Łódzkiej wzięci zostaną w opiekę przez kolej Dąbrowską.

Nie wiadomo jeszcze, czy na kolei Łódzkiej zostanie zmieniony tor na szeroko-szynowy, jaki mieć będzie kolej Dąbrowską.

— Pożar. Z nocy z dnia 8 na 9-y b. m., w Łasku, w miejscowości zwanej „Probstwem“, wynikł pożar wpośród szeregu zwartych, drewnianych zabudowań, w posesyi p. I. Dom był dość wysoko na sumę 2090 rubli asekurowany i wkrótce miał być sprzedany z publicznej licytacji, na rzecz wierzyteli. Wielu biednych lokatorów z tego domu, szczególnie zaś urzędników biura powiatu i kasy utraciło całe swoje krwawo zapracowane mienie. Pożar zagrażał całej ulicy, gdzie znajduje się pensyja prywatna żeńska pani Jurkowskiej, oraz dom przytułku starców i kalek.

Brak narzędzi ogniowych, wody i wogóle ładu, utrudniał ratunek, i tylko dzięki spokojnemu stanowi pogody pożar ograniczył się do jednej posesyi.

— Wypadki w gubernii.

Od dnia 27 grudnia do 24 stycznia było pożarów: z podpalenia 8, z przyczyn niewiadomych 2, przez nieostrożność 1; wypadków nagłej śmierci było 5, znaleziono 1 martwe ciało; zabójstw było 2, dzieciobójstw 2, samobójstw 1.

tego powodu... przestałem wdawać się nawet z niektórymi kolegami..

I byłoby tak trwało nie wiem jak długo jeszcze, gdyby nie Anielka, która snąc z gorętszej niż ja ulepiona była materyi.

Okoliczności składały się dla nas najpomyślniej. Najprzód zbliżyły się znowu imienniny tych samych państwa, a powtóre... Ale to trzeba obszerniej omówić.

Brat mojej Anielki należał do tępszych uczniów; starano się też o korepetytora dla niego. Nadarzył się jeden z mých kolegów i objął wakującą posadę za 10 rubli miesięcznej pensyi. Ow kolega należał do gatunku znanego w terminologii uczniowskiej pod techniczną nazwą „ściągaczy“. Są to pasorzyce świata sztubackiego. Niema wypracowania, któregoby nie przepisali od innych: extemporalia łacińskie i greckie kopijują na zabój, wbrew wszelkim kongresom literackim i wyłącznym prawom na produkcję umysłową; sposoby zaś rozwiązywania zadań matematycznych chłoną jak bibuła.

Do rzędu takich osobników należał kolega Waciu. Siedział on przy mnie i pełnił obowiązki zwierciadła, odbijającego całą mą wiedzę. Byłem wzorem jego, bożyszczem, ku któremu wzrok błagalny podnosił. Istniał on tylko we mnie i przezemnie; nie dziw więc, że byłem panem życia jego i śmierci.

Po kilku dniach swej korepetytorki, Waciu zaczął mi opowiadać z nieklamany zachwytem o pięknej siostrze swego ucznia. Ze słów jego osądziłem, że niewiele braknie, aby i on serce swe zaprzepaścił tam, gdzie ja je straciłem...

Zacząłem się go lękać. Postawiony w

lepszych odemnie warunkach, gdyż mógł widywać się i rozmawiać co dnia z Anielką, stawał się dla mnie groźnym rywalem—tem bardziej, że rozumiał trochę po francuzku a ja wcale.

Z dniem każdym gorsza trawiła mnie gorączka. Wreszcie postanowiłem dokonać coup d'état i wyznać mu wszystko, by tym sposobem ze współzawodnika zrobić go pośrednikiem swych zapalów. Polegałem na mej przewadze szkolnej—co nie było może zbyt szlachetnem, ale... nader wygodnem i praktycznem.

Przechadzając się po ulicy, w ciemną noc zimową, nakrapianą gdziegdzie blademi punktami gazu, drząc cały, głosem przerywanym i stłumionym opowiedziałem Waciu wszystko. Spadł mi ciężar z serca, spowiedź ulżyła mi; wzruszony, czekałem odpowiedzi.

Wypadła ona nader przychylnie; pocziwy Waciu zapewniał mnie, że miał szczerą chęć zawrócenia sobie głowy nadobną dziewczyną, że nawet czuł już wyraźne symptomy kołowacizny, ale, w imię mej przyjaźni (pocziwe extemporalia) gotów poświęcić dla mnie swe afekty. Wstrząsnąłem silnie podaną mi prawicę i—poszedłem do domu... spać.

Od tej chwili wiele się zmieniło.

Energiczny Waciu tak umiał pokierować sprawą, że po kilku dniach wdał się w rozmowę z moją bogdaną. Powiedział jej, że cieszy się bezwzględna moją ufnością, że wie o *wszystkiem* („umyślnie zaakcentowałem to słowo“—mówił, zdając mi relacyję) i, gdyby mógł być w czem pomocny, uważałby się za szczęśliwego... etc. etc.

Przeszło dni kilka. Siedziałem właśnie w domu nad zadaniami algebraicznymi, gdy wpada zadyszany Waciu z miną wielce obiecującą...

— Jest tu kto, oprócz ciebie?...

— Niema nikogo... Ale...

— Cicho... Anielka... Anielka... chce...

— Odsap że się i gadaj—wołam.

— Zaraz... A... A... Anielka chce, żebyś do niej list napisał.

Ostąpiłem...

Propozycyja sama w sobie nie zawierała nic przykrego; owszem, powinienem był się nią cieszyć, a jednak... a jednak fałszywa jakaś nuta zadziwiała mi w tych słowach.

— Na kiedy ma to być gotowe?—spytałem zwolna.

— Na dziś... zaraz... Jutro będziesz miał odpowiedź.

Nie było rady. Waciu stał nademną z miną oprawcy, nie znającego litości, a ja, z taką chęcią jak na rzeź prowadzone ciele, zacząłem, drząc febrycznie, pisać... pierwszy mój list miłosny!

Powoli przejmowałem się: wpadałem w ekstazę i górnolotnym stylem nagryzmołem coś wysoce napuszystego. Nie dziw, w klasie uchodziłem za jednego z lepszych stylistów, a pod względem znajomości poezyi romantycznej—nikt mi nie był w stanie dorównać! Dziecięcy mój umysł lubował się w niezrozumiałych obrazach fantazyi, podobocznym lotach, niepochwytanych dążeniach—chłubiłem się, że czytał Krasieńskiego, Słowackiego i, że odgadnąć ich usiłował.

Niema kwestyi, iż dwunastoletni mój ideał nie zrozumiał mnie wcale; ba, pytanie,

— Doroczne posiedzenie członków stowarzyszenia kasy zaliczkowo-wkładowej dla urzędników i oficyalistów tutejszej Izby skarbowej, odbyło się w dniu 30 z. m. w gmachu tejże Izby o godzinie 7 wieczorem.

Na posiedzeniu przewodniczył prezes Izby p. A. Stange, który wraz z obradującymi wysłuchał odczytanego przez p. O. sprawozdania ze stanu i czynności kasy za rok ubiegły, przedstawiającego się jak następuje:

Do początku r. 1883 rzeczywistych członków kasy było 47 z kapitałem—6510 rub. 96 kop., od którego, po ten że sam czas, osiągnięto czystego zysku 493 ra. 37 kop. Oprócz tego w kasie znajdowało się: a) papierów procentowych na sumę 1350 r. i b) pieniędzy przynależnych Dąbrowieckiej kopalni węgla za dostawiony w 1882 r. węgiel w ilości 418 r. Wszystkiego po dzień 1 stycznia 1883 r. znajdowało się w kasie 8772 r. 33 k. W ciągu roku 1883 przybyło nowych 19 członków, ogólna przeto ich liczba wynosiła 66, którzy wnieśli 2013 r. 74 k.;—oprócz tego w ciągu roku osiągnięto czystego zysku 516 r. 82 k., jak również dano zarządowi kasy na dług 13 wagonów kamiennego węgla, wartości 457 r. 20 k. Zatem ogółem w 1883 r. znajdowało się w kasie 11760 rub. 9 kop.

Z tej sumy w ciągu roku 1883, niezależnie od wydanych pieniężnych pożyczek w ilości 9564 r., wydatkowano: 1) stosownie do upoważnienia danego przez stowarzyszonych przelano na pokrycie długów niektórym członkom z ich własnych oszczędności—2718 r. 20 k.; 2) wydano buchalterowi i kasyjerowi wynagrodzenie za ich zajęcia w r. 1882—140 r.; 3) zapłacono Dąbrowieckiej kopalni węgla za dostawiony w 1882 r. węgiel—418 r.; 4) wydano i przelano na zapłacenie długów występującym ze stowarzyszenia 8 członkom 1148 r. 3 k. włącznie z 5% w ilości 16 r. 2 k., — czyli wszystkiego wydano 1164 r. 5 k., 5) zwrócono depozytowych papierów procentowych na sumę 350 r., i 6) wypłacono bankierskiej firmie Nelkena zabezpieczenie 5% z wygraną biletu 1 r. Wszystkiego zatem wydatkowano 4791 r. 25 k.

Po dzień 1 stycznia 1884 r. w kasie znajdowało się kapitału 6968 rub. 84 kop.,—w tej cyfrze: a) oszczędności 58 członków 5011 r. 84 k.; b) w depozycie jednego z członków 1000 r.; c) czystego zysku osiągniętego w 1883 r. 499 r. 80 k., i d) pieniędzy przynależnych kopalni węgla za węgiel dostarczony w 1883 r. 457 r. 20 k.—Razem jak wyżej 6968 r. 84 k. Sumę tę stanowią: 1) niezwrócone pożyczki—5019 r. 72 k.; 2) niezwrócona należność za węgiel 197 r.; 3) suma awansowa na kupno herbaty—100 r.; 4) depozytowe papiery procentowe—1000 r.; 5) 5% z wygraną biletu, nabytego przez kasę za 234 r. 95 k., i 6) gotówka 417 r. 17 k., Razem tak jak wyżej. 6968 r. 84 k.

Czysty zysk, osiągnięty w 1883 r. w ilości 516 r. 82 k. stanowią: a) % od wydanych pożyczek—390 r. 32 k.; b) % od herbaty—94 r.; c) % od tytoniu, cygar i papierosów i t. p. nabywanych przez stowarzyszonych w sklepie p. Macaya—27 r. 50 k., i d) dwa kupony od 5% z wygraną biletu—5 r. — wszystkiego jak wyżej 516 r. 82 k. Osiągnięty z tych źródeł zysk stanowi więcej aniżeli 12%, — albowiem 5% od wszystkich oszczędności wynosi 196 r. 50 k. i na dywidendę pozostaje 303 r. 30 kop.

Następnie obradowano nad kilkoma wnioskami, tyczącymi się bądź to planu działań zarządu kasy na rok bieżący, — bądź też wysokości wynagrodzenia dla kasyjera i buchaltera ze rok 1883, jak również nad wnioskiem p. p. S. i O., tyczącym się nabycia biletu loteryi klas. Kr. Pol., który jednogłośnie został przyjęty. Mogący ztąd osiągnąć się fundusz, postanowiono rozdzielić pomiędzy członków stowarzyszenia proporcjonalnie do wysokości posiadanych przez nich udziałów w kasie po dzień wygranej. W dalszym ciągu posiedzenia przystąpiono przez balotowanie do obioru nowego zarządu kasy. — Po przeliczeniu kresek, okazało się, iż takowy pozostał bez zmiany; zmieniono tylko członków komisji rewizyjnej, którą w roku bieżącym stanowią będą większością głosów wybrani p. p. W. York, P. Dynitriew i S. Degen.

Nadmienić wypada, że uproszony przez

zebranych członków prezes Izby a zarazem przewodniczący na zebraniu p. A. Stange przy ukończeniu posiedzenia, w imieniu tychże członków wyraził podziękowanie pp. kasyjerowi i buchalterowi stowarzyszenia, za ich gorliwe i umiejętne wypełnianie włożonych na nich obowiązków: pierwszemu w osobie p. N. Nejberkowa, a drugiemu w osobie p. F. Olewińskiego.

W. Wolski.

— Poleca się publicznemu miłosierdziu *Petronela Bugajska*, pozostająca w nędzy żona wyrobnika Wincentego Bugajskiego, matka pięciorga drobnych dzieci, bez żadnego sposobu do życia i schorowana. Adres: dom Nowakowskiego Michała, na Wielkiej wsi.

SZKOŁY PIOTRKOWSKIE.

(Ciąg dalszy—patrz № 6).

▼.

Organizacja szkół pijarskich.

Jak podane było wyżej, pijarzy piotrkowscy jeszcze na początku 1675 r. urządzili w mieszkaniu swoim szkołę i nauki w niej według przepisów swojego zgromadzenia rozpoczęli. Szkołami pijarskimi, jak i wszelkimi innymi sprawami całego zgromadzenia, kierował *generał* zakonu, w Rzymie przebywający. Czem był generał dla całego zakonu, tem *prowinicyjal* dla prowincyi, na które się zakon dzielił. Obowiązkiem *prowinicyjala* było: doglądać, aby we wszystkich szkołach prowincyi pod każdym względem przyzwoity porządek panował i — szkoły te zwiedzać osobiście, lub przez zdatnych wizytatorów; *wizytatorowie* czuwali, aby każdy z członków zgromadzenia obowiązki swoje ściśle wykonywał, aby uczniowie nigdzie sami bez dozoru nie zostawali, aby w dniu uroczyste stałe do kościoła uczęszczali i aby nauka religii pilnie wykładana była. Na czele każdego kolegium stał *Rektor*, na 3 lata obierany; ponieważ jednak rektor, zajęty utrzymywaniem kolegium, potrzebami materyjalnymi zgromadzenia i jego interesami, nie mógł się zarazem zajmować szkołami, przeto, w kolegiach polskich zarząd szkół powierzano *prefektom*. Ostatni przyjmował i odda-

czy jabym sam pojąć się dziś zdołał. Z całej erotycznej gmatwaniny listu—to tylko Aniela odcyfrować potrafiła, że pożądam pukla jej włosów. Pamiętam, jak dziś, chwilę, gdy oczekiwałem w narożnej cukierni na przybycie mego miłosego posła. Nerwowo przerzucałem gazety, nie wiedząc, co czynię. Piekl mnie ogień wewnętrzny. Wreszcie wpadł Wacio i oddał mi białą kopertę, którą bezprzytomnie prawie zdarłem i—zbladłem jak chusta...

— Co ci jest?—zawołał

— Nic...—odparłem.

— Czy ona ci co nieprzyjemnego pisze?

Dopiero teraz spojrzałem na papier. Zbladłem jedynie ze wzruszenia, a on, nie rozumiejąc tego, drażnił mnie jeszcze pytaniami.

List zaczynał się od wykrzyknika: „Drogi Romciu!“ a kończył podpisem: „Aniela“. W czterech wierszach zawartości przeproszał za „tykanie“ i donosił o przesłaniu „pukla włosów“, który rzeczywiście doręczony mi został w małym pudełeczku.

Zapach ich czuję do dziś—duszy, upajający. Pod jego wpływem znikł duch przeżycia, który mącił mi umysł naigraniem się niemilosierdem, rozstrajał cały mój ład wewnętrzny; pod rozkosznym technieniem tych krucznych włosów, znów byłem w całej pełni zakochanym szóstoklasistą.

Tylko początek jest trudny. Następny list napisać było mi znacznie łatwiej, a jeszcze następny wyszedł mi z pod pióra bardzo raźnie.

Starałem się przelać na papier uczucia piersi podnoszące i dać jej poznać trawiając mnie gorączkę. Lotu mej fantazyi nie krepow-

wały ani pieczątki, któremi mnie moja miłość w listach darzyła, ani proste, powszednie zdania, które treść ich stanowiły. Uniesienia, zapawy, zachwyty, milkły bez echa... Odpowiedzi odbierałem tego rodzaju: „Drogi Romciu! piszę ci, bo guwernantka moja wysłała właśnie. Była dziś u mnie moja koleżanka Mania. Całuję cię. Twoja na wieki. Aniela“.

Raz napotkałem nawet błąd gramatyczny: *podług* zamiast *podług*.

Byłem bliżki otrzeźwienia... Ale nie! postanowiłem sobie... kształcić tę duszyckę! dostrajając ją do siebie!.. I znów szalałem.

Tymczasem zbliżał się dzień spodziewanych urodzin; mieliśmy się znów spotkać. Oczekiwałem go prawie ze drżeniem. A nuż rzeczywistość nie odpowie marzeniu i rozwieje się wypieczony obraz pod technieniem nogiej, materyjalnej prawdy?... (Należałem wtedy do najgorliwszych, choć nieszkodliwych przeciwników materyjalizmu).

Wreszcie pewnego wieczora, wśród mnóstwa obojętnych twarzy, spotkałem się oko w oko z Anielką i... nie zmieszałem się prawie, pełen bezcelnej jakiejś hardości. Oczy jej znów urok rzuciły; włosy miały ten sam zapach rozkoszny, który, bijąc z zamkniętego pudełka, upajał mnie; usteczka figlarnie odchylone, odsłaniały dwa rzędy perlelek. Byłem zachwycony! Graliśmy w gry różne, a z fantów wypadło mi deklamować.

Przyszedł mi do głowy szczególny pomysł.—Z oczyma w nią utkwionemi zaczęłem z wolna, wyraźnie, mówić „Sielanke młodości“ Gaszyńskiego, szczególny nacisk kładąc na ustępie o puklu włosów. Widziałem, że zajęło ją to niezmiernie. Musiałem

mówić niezłe, bo gdym skończył, posypało się „brawo!“ Ona biła z całych sił. Potem, przechodząc koło mnie, szepnęła:

„Jaki pan mądry...“

Byłem w siódmym niebie... Ocenila mnie!

Po chwili, wysunąłem się do ciemnego przedpokojku, by ochłonać. Usiadłem w kątku i zadumałem się, nie zauważwszy, że ona, Aniela moja, weszła i pochyliła się nademną. Porwałem się jak bezprzytomny i z sił całych do siebie ją przyciskając, wycisnąłem na jej ustach pierwszy, płomienny pocałunek.

— Oj, oj, nie tak mocno!—krzyknęła.

Na drugi dzień rodzice jej wiedzieli o wszystkim. Podpatrzyła nas guwernantka i zaraportowała komu należy.

Aniela natychmiast przyznała się. Mama wspaniałomyślnie przebaczyła jej winę, a tylko moje listy, owoce natchnień, poszły na pośmiech i urągawisko.

Teraz dopiero otrzeźwiałem. Mniej bolało mnie zmartwienie, jakie przyczyniłem rodzicom i sobie, niż to, że byłem ośmieszony! Romansowałem na seryjo... z dwunastoletnią dziewczynką!

Przeszło lat kilka, stanowiących epokę w życiu dwojga dzieci. Spotkałem ją w tych dniach na balu, śliczną, wystrójoną, otoczoną gronem młodzieży. Spojrzałem — i żal mi się zrobiło... przeszłości.

łał uczniów, czuwał nad postępami w nauce i sprawowaniem się ich po za szkoła. Codziennie w szkołach obecny prefekt miał prawo wglądać w dopełnianie obowiązków nauczycieli. Przeznaczał im autorów jakich mają tłumaczyć i dawał baczność, aby ściśle pilnowano rozkładu nauk, jaki ułożył i na kurytarzu szkolnym wywiesił. Stancyje uczniów najmniej raz na miesiąc obchodził a chorych co dzień odwiedzał. Znając dokładnie każdego z młodzieży, wstrzymać mógł promocyje, daną przez właściwego profesora, lub też mimo jego zdania, ucznia do klasy wyższej promować. Prefekt bywał zwykle profesorem filozofii lub retoryki; czasem nie zgola nie wykladał, jak np. prefektowie piotrkowscy: *Aleksander Walewski* w 1736 r., *Cyprian Małachowski* 1738, *Fulgenty Dobrodziejski* 1742, *Reginald a S. Onuphrio*, autor mnóstwa pism panegirycznych 1744 r., *Stanisław Dunin Brzeziński* 1765, *Jacek Paweł Podowski* 1768, *Zygmunt Linowski* 1769, i *Leopold Górski* 1773 r. Później już tego niema przykładu. *Nauczycieli* dla szkół swoich pijarzy wybierali z pomiędzy zdolniejszych uczniów retoryki lub filozofii i odsyłali ich do nowicyjatu w Podolińcu (na Spiziu), lub Nowym Dolku (na Litwie), gdzie pod magistrami i vicemagistrami *novitorum*, ludźmi zwykle uczonymi, kształcili się w naukach duchownych i szkolnych; poczem posyłani bywali do Krakowa, Radomia, Łowicza, lub też gdzieindziej dla słuchania kursu teologii. Zdolniejszych młodych zakonników, przeważnie od czasów Konarskiego, posyłano na dalsze nauki do Rzymu, bądź kosztem zgromadzenia, bądź też kosztem magnatów.

Szkoły Pijarskie składały się z klas następujących: 1) *proforma*, czyli *parva infima*, 2) *infima maior*, 3) *gramatica*, 4) *syntaxis*, 5) *poetica*, 6) *rethorica* i 7) *philosophia* z matematyką. *Parva* i *infima maior* mieszczyły się zwykle w jednej klasie i były tylko jej poddziałami. Od przedmiotów jakich słuchali, uczniowie nazywali się filozofami, retorami, i t. d.

W *infimie niższej* uczono: czytać, pisać, początków arytmetyki, i języka łacińskiego. W *infimie wyższej* tego samego w dalszym ciągu i katechizmu podług Kanizyusa *Summa doctrinae christianae*.

W *gramatyce* deklamacyi, konjugacyi, rachunków, pisania listów; tudzież tłumaczono Fedra i Korneliusza Neposa.

W *syntaxie* uczono składni i czytano łatwiejszych do zrozumienia autorów łacińskich, jak *Eutropiusza* i *Cezara*; uczniowie pisali listy i mowy.

W *poetyce* wykładano: metrykę, czytano wyjątki z *Owidiusza*, *Lukana*, *Klaudiusza* i *Horacego*; uczniowie uczyli się na pamięć po polsku i po łacinie, prozą i wierszem, epigramatów, listów, elegij, mów z *Kurcuzsa*, *Liwiusza* i t. p.

W *retoryce* czytano: *Svetoniusza*, *Klaudyan*, listy *Cycerona*; uczono się retoryki, podług *Emanuela Tesaura*; słuchano historii rzymskiej; czytano ody *Horacego*, mowy *Zakuskiego*, historję polską *Kromera*; historję prawa powszechnego *Rekiera*, historję powszechną, panegiryki, *Senekę*, satyry *Pompińskiego* i pisano wypracowania podług regułu przy czytaniu autorów wskazanych.

W *filozofii* wykładano: logikę, metafizykę, etykę i t. p. podług zasad *Tomistów*, oraz geometryję wyższą. Każda szkoła (klasa) miała jednego tylko nauczyciela, zwanego w pięciu niższych klasach *magistrem*, a w retoryce i filozofii — *profesorem*. We wszystkich klasach lekcyje odbywały się od 8—11 z rana i od 2—4 po południu. We czwartki bywała całodzienna rekreacyja. Wielkie wakacyje trwały od 25-go lipca do 1-go września.

Uczniowie szkół pijarskich obowiązani byli mówić między sobą w domu i w szkole po łacinie. Zwyczaj ten u pijarów piotrkowskich, z rozkazu prowincyjała wprowadzono w r. 1719. Uczniowie używający

mowy ojczystej, *poloniantami* zwani, otrzymywali tak zwane *signum* (tabliczkę drewnianą z literami N. L. t. j. *nota liguae*). *Signum* to przechodziło z rąk do rąk, a ostatni jego posiadacz zwykle otrzymywał karę: „za *signum* zostające przez czas obiadu kilka *placent* w rękę, za noc — kilka *plag* w siedzenie.“

Taka była pierwiastkowo organizacyja szkół pijarskich. Nie były one weale lepsze od jezuickich pod względem nauk. Taki sam panował w nich smak skażony, tak samo marnowano w nich czas na dyalogach, oracyjach, deklamacyjach, dysputach, perorach i t. p.

Szkoły pijarskie były bezpłatne. Uczeń uczęszczający do nich nie zgola za naukę nie płacił, wyjąwszy *dyrektorowi* swojemu, którego zaspokoić musiał małą nagrodą.

W szkołach pijarskich byli także ubodzy uczniowie, t. z. *pauperowie*, którzy się z żebraniń utrzymywali, albo też od swoich kolegów *sodalisów* wsparcie otrzymywali. *Pauperom* wyznaczał prefekt dyrektorów z klas wyższych, którzy z nimi bezpłatnie lekcyje powtarzali. Niektórych *pauperów* utrzymywali sami pijarzy, używając ich za to do rąbania drzewa, palenia w piecach, zamiatania klas, karania uczniów i t. p. Od palenia w piecach zwano takich ubogich uczniów *kalefaktorami*. *Pauperowie* uczęszczali do klas wraz z innymi uczniami.

Karność w szkołach pijarskich, wyjąwszy miejsce, gdzie znajdowały się także szkoły jezuickie, była dość dobrą; najmniejsze bowiem przestępstwo, np. niezajdowanie się na mszy studenckiej, wyzywanie i t. p. karane były plagami, lub aresztem; za znaczne przewinienia oddalano ze szkół. Nad utrzymaniem dobrych obyczajów pomiędzy młodzieżą szkolną czuwali dyrektorowie, których znowu doglądali profesorowie i prefekt; ostatni nieraż niespodzianie udawał się do mieszkań studentów i tym sposobem przekonywał się o ich konducie i pilności. Nie umiejący lekcji zwykle karani byli klęceniem na środku klasy. Uporne lenistwo karane było plagami. Nad zachowaniem czystości obyczajów uczniów swoich, pijarzy czuwali po ojcowsku, nie dając im do czytania żadnej złej książki, strzegąc ich od pijaństwa i rozwiązłości.

Dla wzbudzenia emulacyi pomiędzy uczniami pijarzy udawali się, na wzór jezuitów, do najdziwaczniejszych środków, które jednak, jako niepotrzebne, a przedewszystkiem szkodliwe, z czasem ze szkół swoich usunęli. Starając się zapalić w uczniach swoich taką chęć do nauki, któraby ich nie dla bojaźni kary, ale dla punktu honoru do onejże pobudzała, pijarzy dzielili klasę na dwie części: *pars romana* i *pars graeca*. Nad każdą stroną na ścianie, w tyle ławek, wisiała tablica z odpowiednią nazwą strony.

Jeżeli jedna strona popisała się lepiej w lekcji szkolnej niż druga, albo przeciwnej stronie zadana była trudność, iż jej owa strona rozwiązać nie umiała, tedy profesor zwyciężającej stronie nadawał pochwały: *decem laudes*, *centum laudes*, *quinguinta laudes*, *mille laudes*. Otóż takie *laudes* każda strona zapisywała na swojej tablicy. Gdy przyszła sobota, lub ostatni dzień miesiąca rachowały się ze sobą strony; mająca więcej *laudes* rugowała z ławek mającą mniej i to był cały zysk wygranej.

Nietylko oddziały klasy ubiegały się o pierwszeństwo; wolno było ubiegać się i pojedynczym uczniom. Najbardziej odznaczający się otrzymywali tytuły: *dyktatora*, *imperatora*, *audytora*, *audytora audytatorów* i *cenzora*. Kiedy cała klasa zagadnioną była o jaką kwestyję, na którą odpowiedzieć nie umiała, a jeden tę kwestyję szczęśliwie rozwiązał, tedy niezwłocznie przez deklaracyję profesora, z okrzykiem całej klasy, zostawał *dyktatorem*. Godności tej były następujące przywileje: 1) ławka osobna, 2) niezależność od audytatorów i cenzorów, 3) że zarobione na swoją stronę *laudes* wolno mu

było którejkolwiek stronie podarować. A ponieważ dyktator za każdą zasługę dziesięć razy więcej zyskiwał *laudes* niż wszyscy inni uczniowie, więc której stronie podarował on niezliczone krocie i miliony swoje, ta zazwyczaj drugą przewyższyła. Nakoniec dyktator nie podlegał kontroli innych dygnitarzów klasowych, ale wyłącznie zdawał sprawę ze swoich obowiązków przed profesorem, który miał prawo zdegradować osobę dyktatora *ad scamnum asinorum*.

Imperator miał ten zaszczyt, że w ławkach szkolnych pierwasze zasiadał miejsce, na procesyjach publicznych z laską przed swoją klasą paradował i listę uczniów swojej partyi, wedle sprawozdań audytatorów, utrzymywał. *Imperatorami* zawsze bywali panięta, albo majątniejszych mieszczan dzieci, które w lepsze od innych suknie przyodziane i urodziwsze, mogły piękniejsze czolo szkoły stanowić, choć przytem, jeżeli nie lepiej od innych, to przynajmniej na równi z drugimi musiały się uczyć i w postępach najmniej płochości okazywać.

Auditor i *auditor auditorum*, wybierany z najpilniejszych uczniów, obowiązany był przed przyjściem profesora, wysłuchiwać współkolegów zadanych lekcji i zdanie swe w tej mierze *imperatorowi* podać.

Cenzor w każdej klasie był jeden; czuwał on nad zachowaniem porządku w klasie.

(d. c. n.).

— Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, wspólnie z Komitetem Zarządzającym zakładem wód mineralnych w Cieshocinku, ogłasza niniejszem dla budowniczych krajowych konkurs na sporządzenie projektu budowy teatru letniego dla zakładu leczniczego w Cieshocinku.

Program i warunki konkursu wraz z planem miejscowości, konkurujący otrzymują na żądanie od Kustosza Wystawy Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Termin konkursu 28 kwietnia (10 maja) r. b. Nagrody dwie: pierwsza rs. 200, druga rs. 100.

— *Ateneum zeszyt Łutowy* wyszedł z druku i zawiera: I) „Współczesna Rmnunija I,” przez T. T. Jeża. — II) „Dola,” Nowela, przez Sewera. — III) „Nieboska i Irydon. Zarys rozwoju duchowego poety w pierwszym okresie twórczości poetyckiej (1830—1835),” przez Bronisława Chlebowskię. (Dokończenie). — IV) „Finanse Rosyi w XIX wieku,” przez J. Blocha. (Dalszy ciąg). — V) „Poselstwo Hr. de Broglie w Polsce. Hrabia de Broglie na sejmie grodzieńskim,” przez R. Waliszewskiego. — VI) „Z dziejów malarstwa Polskiego XVI wieku,” przez F. Martynowskię. — VII) „Stowarzyszenie Kopernikańskie w Toruniu,” przez H. Merczyngę. — VIII) „Spis ludności Warszawskiej,” przez Stanisława Bieniasę. — IX) „Najświętsza praca o Mickiewiezu,” przez P. Chmielowskię. — X) „Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie.”

Licytacyje w obrębie gubernii.

— W dniu 21 marca (2 kwief.), w miejscowym sądzie okręgowym, na sprzedaż części majątku *Regnowa* w powiecie rawskim, od sumy 1800 rs.

— 3 (15) kwief. tamże, na sprzedaż 28 morg. ziemi, placu około 1-jej morgi mającego z wybudowaną na nim stodolą, na terytorjum osady *Sulejowa*, od sumy 1500 rs.

— 13 (25) lutego, we wsi *Kębliny* p-lu *brzezińskiego*, na sprzedaż mebli, zboża, inwentarza żywego i martwego, na sumę 2415 rs.

— 28 mar. (9 kwief.), w miejscowym sądzie zjazd, na sprzedaż nieruchomości w osadzie *Sulejowie* pod № 204/5, a rejestru hipotez. № 32, od sumy 4000 rs. — Tęgoż dnia, tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. *Petrokowie* przy ulicy *Moskiewskiej* za linią drogi żelaz. pod № 611, od sumy 1500 rs.

— 21 marca (2 kwief.), tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. *Zgierz* pod № 152 przy ulicy *Strykowskiej*, od sumy 2500 rs.

— 6 (18) lut. w urzędzie p-tu *bedzińskiego*, na dostawę do *Aleksandrowskiego* szpitala w m. *Będzinie*, artykułów spożywczych i produktów do 1-go stycznia 1885 r., od sumy 2553 rs. 75 kop.

— 9 (21) lut. w m. *Nowo-Radomsku*, na sprzedaż mebli i drzewa w domu pod № 250 przy ulicy *Brzezińskiej* i na placu przy drodze żel. pod № 18, od sumy 254 rs. 60 kop.

— 8 (20) lut. w magistr. m. *Rawy*, na dzierżawę opalenia i oświetlenia synagogi i szkoły żydowskiej, od 232 rs. 81 kop., oraz na pochów umarłych od 11 rs. 87 kop., od ślubów od 4 rs. 36 kop., z obrzezania od 1 rs. 31 kop., z rajskiego jabłka od 1 rs. 55 kop.

— 21 lut. (4 mar.), w urzędzie zachod. okręgu gór. w *Dąbrowie*, na dostawę do szpitala *Górnicy* 35 sztuk prześcieradeł z cienkiego i 60 sztuk z grubego płótna, na sumę 160 rs.

— 26 mar. (7 kwief.) w sądzie zjazd. w *Częstochowie*, na sprzedaż nieruchomości w *Częstochowie* przy ulicy *Ogrodowej* pod № 169, od sumy 5000 rs.

— Tęgoż dnia tamże, na sprzedaż nieruchomości w m. *Częstochowie* pod № 982, od sumy 1500 rs.

O G Ł O S Z E N I A.

B-cia KOGEN



S. KOGEN

W. J. Asmołow & C.

w Rostowie n. D.

J. S. Fusznarów. J. S. ROFE. S. B. Duruńca.

Skład hurtowy wyrobów tabacząnych

ST. PODYMOWSKIEGO i L. ROJKIEWICZA,

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 77,

(Przeniesiony z Nalewek № 13).

polecą znane ze swej dobroci wyroby tabaczące wyżej wymienionych fabryk.

Skład zaopatrzony został w wielkie zapasy **Tytoniów i Papierosów**, co daje mu możność wykonywania wszelkich zamówień natchmiastowo.—Rabat dla kupców fabrycznych stały.

(R. i Fr. 904)

(3—3)

Kantor Wekslu i Interesów Bankierskich

GABRYELA NEUMARK

w Warszawie,

№ 3. Miodowa № 3.

Wystawia przekazy na banki zagraniczne, jako to: WIEDEŃSKIE, BERLIŃSKIE, PARYŻKIE, LONDYŃSKIE i t. p.; daje zaliczenia na papiery wartościowe, na Pożyczkę premijową po rs. 200 ułatwiając rozplatać nawet do rs. 5 miesięcznie; asekuruje Pożyczkę premijową od amortyzacji po kop. 50 od sztuki. — **Sprzedaje Pożyczkę premijową na wypłatę po rs. 5 miesięcznie; po wniesieniu 1-ej raty, wygrana należy wyłącznie do nabywcy.**

W tym Kantorze wyszły wygrane Rs. 200,000, 40,000 i pomniejszych. Zlecenia z prowincji wykonywa jak najpункtualniej.

(R. i Fr. № 945)

(6—3)

FABRYKA TYTONIU i PAPIEROSÓW

BRACI SZAPSZAL

w Petersburgu.

Ma honor zawiadomić o wypuszczeniu nowych gatunków Papierosów, przygotowanych z wyborowego tureckiego tytanu.

Papierosy te pod nazwą:

- 1) Dubek Mursal,
- 2) Balowe,

w cenie **rs. 1 za 100 sztuk**, w pakunkach po 10, 25 i 100—nadeszły do wszystkich znaczniejszych składów tabacząnych w Warszawie.

(R. i Fr. 847)

(3—2)

PŁUGI

najtańsze stosunkowo:

Plug mały **rs. 4**; samochody mojego systemu **rs. 20**; podług oryginalnych Saeka **do rs. 30**. Cenniki wysyłam franco na zażądanie. Adres: przez Noworadomsk (13—6)

Józef Sucheni w Gidlach.

KNUR

Półtora-roczny, rasy Linkoln,

pochodzący z Przereba, jest do sprzedania w Kociołkach przez Wadlew.

(3—1)

Potrzebna jest guwernantka

posiadająca języki: polski, francuzki, niemiecki, rusk, oraz muzykę. — Bliższe szczegóły ndzieli księgarnia M. Paciewicz w Petrokowie.

(2—1)

SZUWAKS

POWINIEN MIEĆ DWOJAKĄ WARTOŚĆ:

- 1) Utrzymanie obówia w należywym porządku, dając mu piękny czarny połysk.
- 2) Konserwowanie miękkości skóry do zdarcia.

Szuwaks wyrabiany w fabryce

JANA SEYDLITZA

EGZYSTUJĄCEJ OD 1825 r.

w Warszawie, przy ulicy Królewskiej Nr. 25.

jedynie sumienną wartością materyjałów, uzyskał powszechne uznanie, gdyż zawsze było i jest zasadą fabryki, nie błyszczące i kosztowne opakowanie, ale **DOBRY TOWAR SPRZEDAWAĆ.**

W ostatnich czasach namnożyło się bardzo wiele szuwaksu z podrabianą moją firmą lub naśladowaną. Towar ten pokątni podrabiacze odstępają sklepom za pół ceny, a niesumienni handlarze sprzedają takowy publiczności szła o zwracanie uwagi na markę fabryczną — (znak klucza) zatwierdzoną przez Rząd i podpis Jana Seydlitz, które to cechy, na każdej etykiecie pudełka są umieszczone. Winni zaś podrabiania lub pośredniczenia w sprzedaży, na drodze kryminalnej poszukiwani będą.

Uprzejmie przeto fabryka

Jana Seydlitza upra-

biania lub pośredniczenia w sprzedaży, na drodze kryminalnej poszukiwani będą.

(R. i Fr. № 1092)

(6—2)



MAGAZYN

UBIORÓW MĘZKICH

Wojciecha Schild

w Petrokowie,

przeniesiony do domu W. Strzyżowskiego przy ulicy Petersburskiej, wprost cerkwi, **polecą dobór gotowej garderoby, tudzież wielki wybór materyjałów zagranicznych i krajowych**, z których, obstalunki wykonywane są przez pracowników z pierwszorzędnych magazynów warszawskich, elegancko, starannie, podług najświeższej mody, **na żądanie w przeciągu 24 godzin.** (7—1)

Jest do sprzedania mało używany

POWÓZ

z pierwszorzędnej fabryki warszawskiej, za przystępną cenę.— Bliższa wiadomość w Radomsku **Hotel Krakowski Nr. 6.**

(4—1)

DOBRA PĄGÓW

w powiecie radomskim, rozległości włók 54, **do sprzedania** w każdym czasie **bez pośrednictwa osób trzecich.** Bliższa wiadomość na miejscu u właścicielki w **Pagowie**, (stacja pocztowa Silniczka). (3—1)

Do sprzedania

DOM DREWNIANY,

z ogrodem owocowym

w mieście powiatowym **Brzeziny.** Bliższa wiadomość w **PETROKOWIE** przy ulicy Pocztowej, w domu W-jej Jaworskiej u **A. Bujno.** (7—4)

Dom murowany Nr. 46

HOTEL KRAKOWSKI

ze sklepami i mieszkaniami naprzeciw kościoła Bernardyńskiego w **Petrokowie, jest do sprzedania.** Wiadomość o warunkach u właściciela w miejscu. (4—3)

Przyjmuje wszelkie

Koronki, hafty i batysty do prania sposobem zwyczajnym i chemicznym.

Józefa Strebejko

w domu po Koczorowskich.

(3—2)

FOLWARK

3 wiprsty od stacji **Myszków**, od 8-go Jana r. b. **do wydzierżawienia**, rozległości około **500 mórg**, w których 150 mórg łąk. Bliższe szczegóły w Zarządzie Dóbr Mijaczów, przez **Myszków.** (3—1)

Biuro Ogłoszeń

dla wszystkich dzienników krajowych i zagranicznych. pod firmą

Rajchman i Frendler

w Warszawie ulica Senatorska Nr. 18

Przyjmuje ogłoszenia pocenach redakcyjnych.

SKŁAD WĘGLI
Włodzimierza Sapińskiego

przy rogu Aleksandryjskiej alei.

Sprzedaje węgle w dobrym gatunku. Korzec grubego wagi 240 fun. po 85 kop.—kostkowego po 83 kop. Na miarę w skrzyniach zamkniętych (przez magistrat warszawski opieczetowanych) po 5, 10 i 20 korey, gruby po 83 kop., kostkowy po 81 kop. korzec z odstawa. Na całe wagony z dostawą przed drwalnie, wagon węgla grubego 11,000 kilkometr. (110 korey) stosownie do gatunku od 76 rs., takżi kostkowego od 73 rs. Drzewny węgiel kurzony rs. 1. Koks rs. 1 korzec. W składzie sprzedaje się każda ilość. Zwózki węgla obcego dopełnia: z osobowej stacji—za wagon rs. 4. Z towarowej stacji—za wagon rs. 5 za furmankę.

Zamówienia wszelkie należy robić w składzie z góry opłacając. (13—5)

Konie, Karety, Powóz, Bryki na resorach.

do wynajęcia. Zamawiać można w składzie węgla W. Sapińskiego, na rogu alei Aleksandryjskiej, oraz w mieszkaniu i stajniach tegoż, w domu W-go Golembowskiego, ulica Kałiska wprost Poczty. Karety i powozy na wesela, chrzty, pogrzeby i spaceru — wynajmują się na godzinę. (13—5)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 27 powieści z francuzkiego p. t. „Tajemnice pałacu sprawiedliwości”.

Redaktor i wydawca Mirosław Dobrzański.

Дозволено Цензурою.

W drukarni E. Pańskiego w Petrokowie

— Wiesz pan co, że mieszkaż wygodnie, — rzekł Jorntuąg nawet chińskie wazon, zdobieg kominek. Po chwili zadzał, ale się natychmiast uspokoił się. — Ah! otóż, — rzekł ze złościwym usmiechem, patrząc ukradkiem na wice-hrabiego, — gatunek zdra- dzający bytność jakiejś pięknej pani. Była to barystowa chusteczka, którą czar- no-górzec podniósł i położył na stole. — Nie sądzę, — zauważył śmiejąc się hrabia, — by brat mój, zamierzając przepychać się hrabia, — by wania podobnych fatalaszków. — Wistocie, — rzekł wice-hrabia. — A więc to niezawodnie ztąd wyhodziła prze- śliczna osoba, którąś widział, pan hrabia ja, zbie- gając z wachodów i jak zjawisko przedbiegająca przedstionek. — Do licha, wiesz pan, że jesteś niebezpiecznym? Wiesz wszystkie... — Przedewszystkiem, widziałem jej nożkę, a wie- działem już, że ma ją śliczną. — Więc znasz ją pan? — Oh! jedne są tylko takie nożki w Paryżu i te należą do pewnej młodej grzeszniczki z ulicy Bréda. — Bez zaprzeczania, widzę, że jesteś pan dosko- nalszym postrzegaczem... — A pan, panie wice-hrabio szesliwym śmie- relnikiem a zarazem i zręcznym człowikiem. Jednak- że słyszałem, że osoba ta ma już jakiegoś opiekuna... — Jakis tam Lambardier... zdaje mi się. — Pan wiesz wszystkie. — Wszystkie, z wyjątkiem położenia towarzy- skiego owego opiekuna. — Ah! ah! — rzekł André, — ależ opiekun chyba nie zamuje pana tyle, co pupilka? — Za pozwoleniem człowieka ten otacza się pewną tajemnicą, a ja nie kryję wcale, że tajemnicę mnie pociegszają.

— 209 —

— Jedna i taż sama — powtórzył Lambardier, — tak Brazylijczyk jak i Czarnogórzec pochodzą prosto z ulicy Jerozolimskiej. Wice-hrabia zbladł na te słowa, a i hrabia ze swej strony okazał niepokój. — Tak; — mówił Lambardier, — powiem jeszcze więcej: ten człowiek, jest to agent policyjny imieniem Merillou! — Więc niczemu już wierzyć nie można, zawołał hrabia. — To pan jeszcze wierzysz w co? — zauważył, śmiejąc się, Lambardier. — A więc ten człowiek nas szpieguje? — Nieinaczej. — I to przyszedł pan dlatego jedynie, by nas ostrzedz? — Oh! niekoniecznie, przyszedłem powiedzieć pa- nom, że coś nowego słychać w Pałacu Sprawiedliwo- ści i, że w tej właśnie chwili René Laroziere jest wol- ny!... Obadwaj bracia zadrżeli. — Uwolniony!.. René Laroziere? rzekł wice- hrabia. — Więc wyszedł rozkaz uniewinnienia go? — Tak jest; rozkaz wydano wczoraj — rzekł Lam- bardier — a więzien uwolniony został dziś rano. Dwaj bracia zdawali się zaniepokojeni tą wie- ścią. — Otóż, — mówił dalej Lambardier, — skoro René uznany jest niewinnym, pozwólcie panowie bym do każdego z was przemówił słów kilka. — Mów pan — rzekli razem dwaj bracia. — Panu, panie hrabio, — mówił Lambardier — przypominam, że René kocha Martę, że cierpiał przez pana i, żeś mu pan winien zadosćuczynienie. Mar- ta kocha go; pan winien ją uszczęśliwić, a jed- dyny na to sposób jest, oddać ją Renemu i nie cze-

— 212 —

podniósł się dla przyjęcia dwóch panów. Pierwszy, był to szlachetny cudzoziemiec, świeżo przybyły do Paryża, którego spotykał wszędzie: w klubie, w te- atrze, na wyścigach, w niektórych salonach; człowiek już wieku dojrzałego, który w swojej ożyźnionej- mowi pewnie stanowisko nieposiednie. Mówiono o nim, że jest czarogórcem i milionerem; drugi, był to brat wice-hrabiego, hrabia André. — Przebac, kochany wice-hrabio — rzekł czar- nogórzec z całą swobodą — że przychodzę tak rano; ale to wina pana hrabiego. — Alez panie! — rzekł André, — to maczenie jest zbyteczne. — Wyobraź pan sobie — ciągnął dalej czar- nogórzec — wczoraj w klubie grałismy grono, i ja prze- gram. — Zajął bardzo, zem wyszedł wcześniej — prze- wali wice-hrabia — może byś się pan odegrał ze mną. — W takim razie jeden brat oddały to, co drugi wygrał. — A więc do mojego brata przegrzałeś pan? — Właśnie; a że pozostalem dłużny panu hra- biemu kilka tysięcy franków, odniosłem mu je dziś rano. — A po zjedzonem razem śniadaniu, — dodał hra- bia — ten pan był tyle łaskaw, że oharował się zawieź- mie swoim powozem do ciebie. — Nie chciałem minąć pańskich drzwi, nie u- siadnąwszy jego reki — dodał czarogórzec. — Tysiącno dzięki za tyle uprzejmości — zawo- łał wice-hrabia, podając rekę cudzoziemcowi, który mu ją serdecznie uściśnął. Wice-hrabia prosił siedzieć, i zaczęto gawędzić. Ale podczas zamiany tysiąca nieznaących trzesów- składających rozmowę prawdziwych paryżan, czar- no-górzec ciągle rozglądał się badawczo po wszystkich zakątkach pokoju.

— 208 —

— To, co ci dał wice-hrabia, czy też to, coś wy- grała w lancknehta, nie mnie nie obchodzi; byłem ci dłużny, więc oddaję. Wziął kapelusz, skłonił się jej ręką i wyszedł; ale zaledwie drzwi się za nim zamknęły, Regina za- dzwoniła na swą pokojówkę. Ta przybiegła na za- wołanie swej pani: — Prędko! — rzekła Regina, — ubieraj mnie. — Jaką suknię pani włoży? — Wszystkie jedno, najskromniejszą, suknię czar- ną aksamitną. W dziesięć minut była gotową. To dowód, że kobiety gdy chcą, potrafią ubrać się szybko. — A teraz — dodała — prędko podaj kapelusz. — A czy kazałaś zaprzęgać? — Tak pani, powóz już czeka. Regina zeszła natychmiast, i siadając do prze- pysznego coupé, który przed tygodniem podarował jej Lambardier: — Janie — rzekła do woźnicy, — jedź co koń wy- skoczy. — Zawsze w to samo miejsce? — zapytał Jan, za- nim zaciął konie. — Naturalnie — odpowiedziała Regina, rzucając się w głęb powozu — zawsze, zawsze na ulicę du Hel- der. I woźnica ruszył galopem. Wice-hrabia powrócił do domu późno w noc; był niezadowolony z wieczoru, bo przegrał dwieście czy trzysta ludorów; spał źle, nudził się, ziewał... Ujrza- wszy Reginę, krzyknął z radości i zadziwienia. — A to ślicznie — rzekł idąc naprzeciw niej — jakąż szczęśliwą myśl miałas!... gdybyś przybyła dzie- sięć minut później, już byś mnie nie zastała. — Miałeś wyjść? — spytała Regina, rzucając ka- pelusz na otomankę.

— 205 —

— A więc żądaj ich od niego.
 — Nie śmieję się, bo to, co mnie zadziwia, to nie pieniańdź, które wyrzucił pan przez okno, ale przy-żemniocze zamiaty, dla których mnie potrzebuję, a w nich liście jest może i zamiat zgubienia ciebie!

— Mnie! a to dlaczego?
 — Nie wiem tego; jednego tylko jestem pewna, że strasznie cię nienawidzi.
 Wice-hrabia Andra zmarszczył brwi.
 — I na czemże opierasz swoje twierdzenie? — rzekł prawie natychmiast.
 — O! czytałam nienawidzić w jego twarzy, gdy mówił o tobie; z oczu tryskały mu błyskawice. Nigdy go takim nie widziałam, strzeż się go...
 — Ale czegoż się mam obawiać?
 — Ja nie wiem — ale umieram ze strachu, zdaje mi się, że jakies nieszczęście ci grozi!

Wice-hrabia przesunął rękę po czole, jak gdyby chciał zepędzić jakiś myśl upartą, a potem otoczył ramieniem zrzędną i gwałtowną młodą kobietę.
 — To wszystko dziecinistwa, — rzekł, — ten czło-wiek nie jest groźny ani dla ciebie, ani też dla mnie; wierzę mi, to szalenie, maniak, jeden z tych ludzi, którzy bawią się w Opatrzność i straszą dziecię pozora i tajemniczości. Nie masz potrzeby niepokoić się. Mówiąc to, całował piękne oczy Reginy, dla której takie rozważanie było najlepszym uspokojeniem wszystkich obaw. Ale w tej samej chwili odgłos dzwonnika rozległ się w przedpokoju.
 — Ktoś idzie — rzekła Regina, — a nie chciałabym być widzianą tutaj; otwórz mi małe drzwi.
 — Kiedyż cię zobaczę? — spytał wice-hrabia za-kochany prawie.
 — Dzisiaj wieczór.
 Drzwi otwarte zrzęcznie, zamknęły się podobnie i Regina znikła. W kilka chwil później wice-hrabia

— Wcale nie. Miałem sobie w łeb palnąć.
 — Żartujesz!
 — Z nudami żartów nie ma! Gdy się nudzę, szukam rozrywki i dla niej byłbym się zabił.
 — To szczęście, żeś jej dotąd nie spróbował, — rzekła Regina, śmiejąc się, — zresztą jest to taki fakt który już nie raz zauważyłam odkąd jestem w Paryżu...
 — Jakież?
 — Że zwykle bogaci tylko ludzie nudzą się.
 — Widzę, że wstałaś dzisiaj pełna myśli filozoficznych?
 — Tak — rzekła Regina, — jestem w czarnym humorze.
 — A ktoż jest tego przyczyną?
 — Człowiek, którego znasz.
 — Znam ich wielu.
 — I który ciebie nie lubi.
 — Mężczyźni zwykle nie lubią się wzajemnie, moja droga.
 — Ten, o którym mówię, nienawidzi cię bardzo, o ile mi się zdaje.
 — Tak? jakże się on nazywa?
 — Lambardier.
 Wice-hrabia przygryzł wargi.
 — Ah! Lambardier, to mnie nie dziwi, — odpowiedział niby obojętnie, — ale dlaczego gniewa się na ciebie?
 — Nie wiem.
 Regina, milcząca chwilę, wlepiając ze szczególnym uporem wzrok swój w twarz wice-hrabiego. Śmiech znikł z jej ust — stała się naraz prawie poważną.
 — Słuchaj, — rzekła, — jest w tem coś szczególnego; człowiek, któremu wszystko jestem winna, który wyciągnął mnie z nędzy, otoczył zbytkiem, o jakim tylko marzyć można, który dał mi dom, służących, konie, powozy, i sądzę, że dałby mi miliony gdybym ich żądała.

— Wice-chcesz ja pan odgadnąć?
 — Bardzo być może.
 Wice-hrabia zaczął się śmiać, lecz śmiech jego przyćmił natychmiast... bo drzwi się otwały, i wszedł lokaj.
 — Pan Lambardier! — zameldował.
 — A to szczególnie! — rzekł czarnogórzec — wice pan go znasz.
 — Cokolwiek, — odpowiedział Andra.
 — Zostawiam wice pana w jego towarzystwie...
 — Czy nie zechcesz go poznać?
 — Co prawda... nie by to nie szkodziło... tem bardziej, że zobaczenie go nie kosztuje.
 Hrabia odwrócił się i brwi zmarszczył.
 — Czego chce od nas ten człowiek? — szepnął do brata. Ten zwrócił się do służącego.
 — Wprowadź! — rzekł rozkazująco.
 Prawie natychmiast na progu ukazał się Lam-bardier.
 — Po tyś się razy przepraszam, że przeskakdam — rzekł kłaniając się, — ale gorąco pragnęciem widzieć się z panem.
 — Czemuż zawdzięczamy zaszczyt tych odwiedzin, — spytał wice-hrabia, tonem wyniosłym.
 — Wielu rzeczom — odpowiedział Lambardier, nie zwracając uwagi na obojętność przyjąca, — a głównie rozważając, o jaką miałem zaszczyt prosić pana. Dwa bracia popatrzyli na siebie, i zdawali się naradzać ze sobą wzrokiem, przed daniem odpowiedzi.
 — Pan hrabia będzie pożądanym, — rzekł Lam-bardier odpowiadając jednej z myśli, jakie ich widowanie zajmowały w tej chwili.
 Czarnogórzec podniósł się.
 — Panowie macie z sobą rozmawiać? a więc ja nie będę dłużej przeskakdam...
 Trzej panowie uścisnęli sobie ręce, a wice-hrabia

widocznie niezadowolony, odprowadził czarnogórcę aż do drzwi.
 Widocznem było, że radby Lambardier'a wyrzucić za drzwi, ale ponieważ obawiał się go instynktowo, więc nie śmiał. Gdy tylko drzwi się zamknęły, postąpił wprost do Lambardier'a.
 — No, a teraz, mój panie, jesteśmy sami; raz się więc wytłomaczyć, czekam.
 — Tak, tak, wytłomacz się pan, — nalegał hrabia — od dość już dawna, grozisz nam pan; życzę więc sobie, by takie postępowanie raz się skończyło...
 — Bardzo dobrze, — rzekł Lambardier z ironią, — cieszę się niewymownie znajdując panów w takim usposobieniu.
 — Mów pan, mów! — wołał wice-hrabia rozkazująco. — Lambardier wzruszył ramionami.
 — Doprawdy — rzekł, — to szczególne. Obchodzicie się ze mną jak z nieprzyjacielem, a tymczasem, nie macie przyjaciela więcej odemnie wylanego.
 — Czy pan szycisz?
 — Bynajmniej, a najlepszym tego dowodem jest to, iż przyszedłem, by wam przeszkodzić w spełnieniu głupstwa.
 Przed chwilą oto, zastałem u panów człowieka, cudzoziemca, którego spotykacie w lasku, w klubie, na wyścigach, który bywa u was, a o którym nie wiecie ani słowa...
 — Ależ to jakis czarnogórzec.
 Lambardier parskał śmiechem dość impertynencko.
 — Czy przypominasz pan sobie, panie wice-hrabio, — mówił dalej, uspokoiwszy ten napad wesołości — czy przypominasz pan sobie pewnego Brazylijczyka, któregośmy poznali na pewnym wieczorze? No i cóż pan byś powiedział, gdy ci zaręczył, że Brazylijczyk i Czarnogórzec to jedna i ta sama osoba?
 — To niepodobna! — zawołali razem obaj bracia.